ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 19-go Sierpnia 1897. Nr. 33.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

Noc, którą Irena przepędziła na gorących modlitwach uwolniła duszę jej od ostatnich naleciałości uczuć ziemskich. Myślała ona wprawdzie jeszcze o swoim synu; ale myśl ta już nie mąciła wcale majestatycznego spokoju jej duszy. Gdy orzeł wzniesie się z ziemi hen wysoko po za obłoki, wówczas krąży w tych przestworzach niebieskich z wzrokiem utkwionym, spokojnie, bez najlżejszego poruszenia skrzydeł. Gdy jeden z więźniów rzucił pytanie, kiedy nareszcie walka się rozpocznie, Irena odrzekła z uśmiechem zawierającym błogie szczęście:

— Chrystus Pan, jako przewodniczący igrzysk już zajął miejsce, Duch święty pomazał swoje wojowniki olejem swojej łaski i uzbroił ich w broń niebieską, a nieprzejrzane zastępy widzów, Święci Pańscy, oczekują rozpoczęcia walki. Podwoje śmierci zamieniły się w bramy tryumfalne, a u tych stoją aniołowie niebiańscy w lśniąco-białych szatach w pogotowiu, aby zwycięzcę przyprowadzić przed najwyższego sędziego igrzysk, przed Nieśmiertelnego Boga, iżby z Jego rąk otrzymał nagrodę zwycięstwa tj. gałązkę palmową i wieniec chwały.

Tak jak Irena w podziemnem więzieniu cyrku, podobnie i Walerya przepędziła noc bezsenną w chacie Mincyusza. Jakkolwiek była niewymownie szczęśliwą na widok wolnego ojca, który tak szybko przychodził do zdrowia, to znowu trapiła ją srodze myśl o Irenie. Nie mogła się wcale pogodzić z myślą utracenia swej lubej macierzyńskiej przyjaciółki, a jednak z każdą chwilą okropna godzina coraz się zbliżała.

Serce się dziewicy krajało na myśl o strasznym zawodzie, jakiego dozna syn Ireny, Kandydus, gdy po odniesionem zwycięstwie upojony szczęściem pobiegnie do swej matki, a tu zamiast ją uścisnąć i przywitać otrzyma przygniatającą wiadomość, iż przed kilku godzinami padła pod mieczem kata, jako ofiara okrutnego tyrana.

Od Ireny miała polecenia oddania Kandydowi gąbki nasiąkniętej krwią jego ojca, lecz zkądże miała zaczerpnąć słów, aby szlachetnego młodzieńca pocieszyć w niewysłowionej jego boleści?

Nie mogła mu nawet dać żadnej pamiątki po zmarłej matce.

A jednak! Gdyby pobiegła do cyrku, mogło jej się udać wraz z innymi wiernymi zbierać krew męczenników do chustek i gąbek, i takim sposobem mogła w tejże samej puszce zjednoczyć krew ojca z krwią świeżo zabitej matki. A nadto mogła przecież czcigodne zwłoki matrony pogrzebać nie w wspólnym grobie dla wszystkich ofiar cyrkowych

igrzysk, ale w grobie, który pierwotnie kazała wykuć dla swego ojca. Takim sposobem mogłaby przynajmniej Kandyda zaprowadzić do grobu matki. Przyszło jej wprawdzie na myśl niebezpieczeństwo powtórnego spotkania się z Sabinem; lecz przypuszczała, że Herakliusz w towarzystwie swego syna znajdować się będzie w orszaku cesarskim, a zresztą wśród tego mnóstwa ludzi i przy niejakiej ostrożności mogła ujść jego zjadliwych oczu.

Gdy wczesnym rankiem oznajmiła ojcu o swojem przedsięwzięciu, Rufinus czynił wprawdzie przedstawienia i swoje uwagi, ale wreszcie zgodził się na widok okrycia głowy, które jej nałożyła Rustyka, a w którem Walerya wyglądała jak każda inna kobieta z tłumu, przez co nie tak prędko można ją było poznać i odróżnić od innych.

A był to przecudny poranek, jesienny. Od wzgórz albańskich wionął silny a świeży wiatr. Słońce poranne z czystego nieba oświecało pochód uroczysty, odbijając się w lśniąco-złotych szatach i srebrzystej zbroi wojskowych w orszaku cesarza. Hardy Maksencyusz sądził, że to uśmiechające mu się szczęście umyślnie dla jego dzisiejszej uroczystości zgotowało tak pyszny poranek, on nie pomyślał, że to słońce nietylko jemu świeci. Całe zastępy wieśniaków ze wsi od podgórza Albańskiego stały pojedyńczo lub gromadnie między pomnikami drogi appijskiej w swoich pstrych szatach, o rażących barwach, jakoby żywe wieńce kwiatów wzdłuż ulicy przyjmując pochód radosnymi okrzykami.

Dwóch tylko mężczyzn było w tym bezrozumnym tłumie, jeden starszy, drugi młodszy, którzy nie zważali na przeciągający przepych, stojąc trochę z ubocza, a jeśli czasem mimochodem spojrzeli w tę stronę, to wzrokiem bardzo poważnym i ponurym. Starszym był sędziwy dyakon Severus, który znalazł się u katakumb św. Kaliksta, aby poczynić ostatnie przygotowania do pogrzebania męczenników; młodszego odznaczała łopata, na której się opierał; był to jeden z grabarzy (fossores) z zakasaną odzieżą znany nam Mincyusz, który całą noc pracował nad przygotowaniem miejsca ostatniego spoczynku dla męczenników, a teraz wyszedł, aby się odświeżyć i pokrzepić orzeźwiającem powietrzem cudnego poranku.

— A toć wielka szkoda — rzekł grabarz — żeśmy tej bezczelnej zgrai wczoraj nie zasypali odwrotu. Godzinka więzienia w katakumbach byłaby dla nich odpowiednią karą. Między swawolnikami znajdował się także Sabinus, syn prefekta kancelaryi Herakliusza. Bardzo chętnie byłbym się z tym paniczykiem poznajomił.

Na to odrzekł stojący obok starzec:

— Bogu samemu pozostawmy karę, jako też czas i miarę, mój synu.

— Ojcze, ja wiem, że masz zawsze słuszność. Atoli gdy przejdę myślą wszystkie krzywdy i zbrodnie, jakich się na nas bezkarnie dopuszczają, a gdy z drugiej strony przypatrzę się przepychowi i zarozumiałości z jaką cesarz znowu przeciąga do cyrku, aby święte członki Chrystusa kazać pobić swoim katom mieczem, to przecież przebiega mię nieraz ochota...

Czyż Baltazar, bezbożny król babiloński nie był porażon tej samej nocy, w której zbezcześcił święte naczynia świątyni Jerozolimskiej, używając ich do świętokradzkiej uczty z swymi biesiadnikami?

— Gdy Daniel tłumaczył mu tajemnicze znaki piśmienne na ścianie. Ale przy dzisiajszych igrzyskach — mówił dalej Mincyusz, a święte oburzenie tryskało z jego oczu — dzisiaj nie są to puhary metalowe, ale żywe naczynia Ducha świętego; dzisiaj nie będą przelewali wina, ale kosztowną krew męczenników.

— A jeśli Pan Bóg zechce — rzekł starzec, mając na myśli Konstantyna — to i dzisiaj pokaże się tajemniczy znak piśmienny, którego atoli ani Maksencyusz ani jego biesiadnicy nie rozumieją.

— Ależ do tego czasu święte naczynia będą już dawno stłuczone, a krew ich święta przelaną.

— Któż wie, mój synu, któż wie? Czyż Pan Bóg już Swoich sług nieraz nie wyrwał z paszczy śmierci?

Tymczasem cesarz witany okrzykami i wrzaskiem tłumów skończył swój pochód główną bramą wchodząc do cyrku. Tam zasiadł na podwyższeniu wraz z najbliższym orszakiem, senatorami i dziewicami westalskiemi. Z swego podniesionego tronu tak zwanego »pulwinaru« spoglądał Maksencyusz po rozległej a wspaniałej tej budowli, a uśmiech zadowolenia okazał się na jego twarzy, pomyślał sobie, iż wzbogacił Rzym jedną budowlą więcej, że ta pyszna budowla sławę jego na zawsze w Rzymie utrwali. Szeregi siedzeń w dziesięciu po sobie następujących stopniach ozdobione były najdroższymi gatunkami marmuru; mogły one zaś pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi, a chociaż dzisiaj siedzenia cyrku nie były tak tłumnie obsadzone, jakby był Maksencyusz się spodziewał (z powodu, że obawa przed nastąpić mającymi wypadkami przemagała u wielu nad ciekawością do igrzysk) to jednak ani na chwilę nie mąciło to radości cesarza na widok pysznego gmachu. Przez środek areny w całej jej długości ciągnął się długi mur, tak zwana »spina«, zdobny statuami, kolumnami i małemi świątyńkami a obok którego siedmiokrotnie przejeżdżać mieli woźnice. W środku spiny wznosił się obelisk, który jeszcze Domicyan około roku 90 po narodzeniu Chrystusa sprowadził do Rzymu, a który teraz Maksencyusz kazał przenieść do swego cyrku.

Dzisiaj z tej budowli, którą okrutny tyran chciał poświęcić krwią męczenników, sterczą już tylko ruiny murów i wieżyca przy wchodzie; jeszcze można rozpoznać bramę śmierci, porta libitinensis, którą wywlekano zwłoki nieszczęśliwych ofiar. Głęboka, złowroga cisza unosi się nad tem miejscem porośniętem trawą a w gankach i sklepieniach zasypanych żwirem i wapnem z murów gnieżdżą się już tylko liszki. Ogromne ruiny opodal sterczące przypominają świątynię Romulusa i inne wspaniałe gmachy, które otaczały cyrk Maksencyusza; a po nad tem wszystkiem wznosi się przy podnoszącej się w górę drodze appijskiej grobowy pomnik Metelli nadając wyobrażeniu zniszczenia wyraz jeszcze poważniejszy.

Uroczystość poświęcenia cyrku rozpoczęła się odsłonięciem statuy Romulusa, na cześć którego cesarz kazał gmach ten wystawić.

Dla cesarzowej urządzono osobny, wysoki tron, ocieniony baldachimem purpurowym z złotemi wyszywaniami, a zdobny w kosztowne kobierce wschodnie i wieńce; na złotych trójnogach płonęły kadzidła o najwonniejszych zapachach. Tu stąd, otoczona swemi niewolnicami mogła z bliska przypatrywać się odsłonięciu statuy swego syna.

Kiedy spadająca zasłona ukazała jej wizerunek zimny, biały, marmurowy, a w nim te kochane ale już tylko z kamienia rysy, cesarzowa mimowoli wyciągnęła ręce, łamane boleścią, jakoby chciała statuę objąć ramionami i z swej macierzyńskiej piersi przelać nowe życie w martwy kamień. Następnie jednak wsparła głowę na ręce i patrzała z niemą boleścią przed siebie, nie zważając na otaczające ją niewolnice, które same wśród tysiąców ciekawych widzów odczuwały boleść matki i nieszczęście cesarzowej.

Po odsłonięciu statuy nastąpił religijny obrządek poświęcenia cyrku. Polegał ten obrządek na tem, że kapłani wśród modłów i pieśni obnosili w procesyi złote i srebrne posągi bogów, jako też popiersia Maksencyusza i członków rodziny cesarskiej po cyrku, polewając mury jego wodą święconą. Ponieważ zaś droga wyścigowa była bardzo długa, więc obrzędy te zajęły niemało czasu, tak że ci, którzy je częściej już widywali srodze się nudzili.

— Na Herkulesa — szepnął niecierpliwie Sabinus do swego sąsiada — ci pobożni mężowie mogliby to nudziarstwo nieco krócej urządzić. Gdybym był na miejscu cesarza, to kazałbym, aby raczej kilkuset gladyatorów wystąpiło do walki. Ich głosy wojenne daleko milej uderzają o moje uszy, niż to

beczenie, a gdy świeża krew pryzga po arenie, to bogom i ludziom sprawia daleko więcej przyjemności, jak morze wody święconej.

Głośny szmer i okrzyki radości, którymi witano przybywającego do cyrku cesarza, stanowiły dla wyznawców Chrystusa znak, że godzina męczeństwa się zbliża. Z przygotowaniem, owszem z radością spoglądali oni śmierci w oczy. Widok żołnierzy, którzy z dobytymi mieczami ustawili się u wchodu więzienia podcyrkowego, z którego miano wyprowadzić chrześcian na rzeź, nie sprawiał na tych ostatnich wcale strasznego wrażenia. Jeszcze raz dali sobie wzajemnie pocałunek pokoju, wzajem się rozgrzewając do wytrwałego wyznania imienia Chrystusowego. A chociażby wśród nich miał się znajdować taki, którego serce w obliczu śmierci by zadrżało, to jedno spojrzenie na Irenę byłoby mu bez wątpienia wróciło zupełną odwagę i męstwo do poniesienia męczeństwa.

Ona, co miała ponieść najcięższą ofiarę ze wszystkich, stała z niebiańsko rozpromienionem obliczem, jako matka między dziećmi swemi, a gdy od czasu do czasu wzniosła ręce do góry, a oko jej w błogiem zachwyceniu utkwione gdzieś wysoko ponad ziemią, widziało niby niebo otwarte, o wtedy od tego żaru i gotowości do poniesienia najcięższych ofiar zapalał się także u innych święty płomień męstwa do wyznania Chrystusa.

Nareszcie nudne obrzędy wstępne skończyły się w cyrku, a wówczas wszystkich oczy zwróciły się w stronę loży cesarskiej skąd Maksencyusz przez rzucenie białej chustki na arenę miał dać znak do rozpoczęcia zapasów wojennych, to znów w stronę szranków w drugiej stronie cyrku, gdzie kierownicy wozów wyścigowych z ledwością zdołali powstrzymać ogniste konie, które z niecierpliwością i żądzą zapasów parskały, kopiąc ziemię. Maksencyusz był obecny przy odsłonięciu statuy i przy początku pochodu procesyalnego; następnie jednak odszedł prawdopodobnie z nudów, które zbierały tak jego jak i lud. Teraz jednak musiał być na miejscu, aby dać oczekiwany znak.

Tymczasem mijała minuta za minutą: a władca nie przychodził. Oczekiwanie i niepokój tysiąców pousadzanych na stopniowych galeryach wzrastały z każdą chwilą, a nareszcie usłyszano okrzyki i tupania nogami. W amfiteatrze bowiem i w cyrku, gdzie wśród takiego mnóstwa ludzi jednostka zupełnie znikała, pozwalał sobie motłoch niemało nawet względem surowego władcy, i tyrańscy zresztą cesarze brali wzgląd na usposobienie i wyrażenia, na pochwałę czy naganę tłuszczy.

Z czasem niepokój ludu przybrał zupełnie odmienny charakter; wieść, że Konstantyn zaczepił Rufusa i że zawrzała walka, przebiegała z ust do ust, wprawiając tysiące ludu zgromadzonego w cyrku w ogromny niepokój i podrażnienie.

Poruszenie stało się jeszcze większem, gdy jeden z dworzan dał w imieniu cesarza znak do rozpoczęcia wyścigów, aby lud uspokoić.

Na dany znak szranki opadły, a w dzikim pospiechu wypadło sześć wozów zaprzężonych każdy w cztery konie, jako strzała z łuku na drogę wyścigową. Zgięci i pochyleni naprzód woźnice stali na przedzie wozu zwanym biga i pędzili zrazu obok siebie po długiej drodze. Z czasem niektórzy wyprzedzili towarzyszów pędząc ku mecie a okrzykami i trzaskaniem z biczów poganiali konie wyścigowe do jeszcze spieszniejszego pędu.

Ale jeżeli zwykle Rzymianie z nadzwyczajnem zajęciem ścigali wzrokiem pędzące wśród chmury kurzawnej wozy dodając otuchy różnobarwnym woźnicom okrzykami, klaskaniem rękami i powiewaniem chustkami, z jak szalonem poruszeniem przypatrywali się, gdy przedni wóz został wyprzedzony przez inny, a ten znowu został w tyle, lub gdy ów przy skręcaniu o bocznicę »spina« przy czterowieżowej mecie czy kolumnie kamiennej się rozbił, to dzisiaj nie miały igrzyska dla ludu wielkiego powabu i gdy znaczna część widzów cisnęła się już do drzwi wychodowych cyrku, reszta

ludzi poczęła coraz głośniej i dziko gwizdać i krzyczeć w stronę loży cesarskiej.

— Precz z końmi! — słyszeć było można — gdzież jest cesarz? co się stało? dajcie nam wieści!

Wreszcie wystąpił herold, czyli posłaniec i skinieniem laski poselskiej nakazał milczenie. Kierownicy wozów zatrzymali konie, wszystko słuchało z naprężoną ciekawością. Donośnym głosem powiadomił herold słuchaczy, że boski Maksencyusz nie mógł tego przenieść na sobie, aby tylko same jego legiony walczyły przeciw bezczelnikowi, który ośmielił się podnieść rękę na uświęconą stolicę państwa i burzyć spokój publiczny przerywając wielkiemu ludowi rzymskiemu ulubione zabawy. Dla tego bohaterski cesarz podążył na czele swoich wojsk, aby przyćmić sławę wielkiego Cezara, gdyż sama obecność jego stanowi o zwycięstwie.

Na chełpliwe słowa herolda odpowiadali szyderczym śmiechem, inni pomyśleli z przerażeniem, że wynik walki musiał być wielce wątpliwym, skoro cesarz Maksencyusz musiał opuścić igrzyska, aby osobiście udać się do wojsk swoich i stawić się na ich czele; — wszyscy zaś myśleli tylko o tem, aby czemprędzej powrócić do Rzymu.

W kilka chwil potem obszerny cyrk był zupełnie pusty, a tłum dziesięciotysięczny tłoczył się ściskając, popychając się wzajemnie ku miastu. Zdawało się, jakoby Konstantyn napadł Rzym nie z przeciwległej strony, lecz od strony apijskiej i jakoby ścigał ten motłoch, uciekający przed nim. Mężczyźni, kobiety i dzieci krzyczały naprzemian w pomięszaniu; gęste chmury kurzu tłoczyły się wraz z ludem ku miastu, a to słońce, które rano tak pięknie się uśmiechało, teraz rzucało na uciekających gorące promienie, a oni mimo pospiechu nie mogli się jednak jakoś dostać do Rzymu.

W tem ogromnem zamięszaniu Sabina napróżno szukała swego syna, napróżno nawoływała swych niewolników, którzy mieli nieść jej lektykę. Wreszcie przyszła do przekonania, że wypadnie jej w świątecznej sukni puścić się wraz z tłumem do miasta, sapiąc i pot wylewając.

Gdy Maksencyusz na podstawie otrzymanych od Rufusa wiadomości co do stanu walki postanowił sam stawić się na czele swoich zachwianych legionów, tuszył sobie, że przez samo zjawienie się wśród wojsk rozstrzygnie o wypadku dnia. Mimo to krzyknął na odjezdnem nadzorcy więźniów, aby kazał wyciąć chrześcian do nogi, jeśli do wieczora nie nadejdzie wieść o zwysięstwie. Jeśliby mi się źle powiodło, to niechaj przynajmniej te psy chrześciańskie nie cieszą się z mojej porażki.



Baron Marschall,
dotychczasowy niemiecki minister spraw zagranicznych.
(Obacz objaśnienia rycin na str. 528).

Sabinus chętnie byłby pozwolił, aby sam cesarz zbierał wawrzyny. Aczkolkolwiek zrazu wydzierał się najbliżej ku jego osobie, aby zwrócić na siebie wszechwładne a łaskawe jego spojrzenie, teraz starał się coprędzej czmychnąć; atoli skinienie Maksencyusza zmusiło go do przyłączenia się do orszaku cesarskiego. Puścili się więc w szalonym pędzie drogą apijską ku miastu; jeźdźcy pocztowi Herakliusza mieli Rufusowi czemprędzej przynieść rozkaz, aby się trzymał tak długo, dopoki cesarz nie nadciągnie na pole walki.

Ze wzgórza, na którem stoi pomnik

grobowy Kornelian, przypatrywali się pędzącej gromadzie sędziwy dyakon Sewerus i młodociany grabarz nie mogli już wątpić, jakie znaczenie ma ten pospiech.

Sędziwy dyakon złożył ręce, wzniósł oczy w niebo i z porywającą do głębi duszy powagą wyrzekł tylko jedno słowo:

— Baltazar.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻEBRAK-FUNDATOR.

GAWĘDA KLASZTORNA.

I.

Z torbą na plecach, w wypłowiałej kurcie,
Dziad siwobrody, schylony przez lata,
Stanął pokornie przy klasztornej fórcie
I drżącą ręką we dzwonek kołata.
Stary kapelusz cienił starą głowę,
Na czarnym sznurku wisiały u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi,
A u popręgi paciorki bukowe.
Żebrak czy pielgrzym? — a któż jego zbada?
I któżby zresztą troszczył się o dziada?

Starzec we dzwonek fórciany kołata.
Była to fórta bernardyńskiej braci —
Snadź musi pomnieć staroświeckie lata,
Snadź i ojcowie tutaj niebogaci.
Klasztor i kościół budowany z drzewa,
Czasy Witołda pamiętają pono;
Ściany się trzęsą, kiedy wiatr powiewa,
Dachy słomiane zakwitły zielono,
Przy starych ścianach rozrosły się chwasty,
Szorstka pokrzywa i oset kolczasty.
Starzec za sznurek pociągnął potrzecie,
Rozbity dzwonek gdzieś głucho kołata —
Wreszcie ktoś idzie — otwarła się krata —
Odźwierny spytał: »A czego tam chcecie?«
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

II.

I rzekł: »Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Oto do miejsc cudownych wybrałem się w drogę,
Slubem po żebraninie obchodzę te strony,
Ale głodny, schorzały, dalej iść nie mogę.
Mam moje święte wota, chcę czynić im zadość,
Ale cóż? stare nogi nie służą mi sporno,
Stare kościska bolą... ej! starość nie radość;

Ojcowie! chcę gościny za fórtą klasztorną,
A za dzionek, za drugi, orzeźwiwszy duszę,
Powiem szczerze: Bóg zapłać, i dalej wyruszę.
A może tutaj umrę, no! to zawsze lepiej
Umrzeć w świętym klasztorze, niż na drodze pono;
Przecię kapłańska ręka powieki zasklepi
I trupa choćby wodą pokropi święconą.
Ojcze! powiedz starszemu, że tu dziad w podróży
Prosi o miskę strawy i schronienie skromne;
A za to, czyli umrę, czy żyć będę dłużej
Nigdy w moich modlitwach Ojców nie przepomnę.
Uczynność nie stracona, wszak wiesz ksiądz dobrodziej,
Kiedy żebrak przychodzi, sam Chrystus przychodzi;
Kropla wody, co podasz ze szczerego łona,
Na sądzie ostatecznym będzie policzona!«

III.

Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.
Odźwierny fuknął: »A toż co się znaczy?
Niedobrześ trafił, morałów twych szkoda;
Tu klasztór księży, nie szpital żebraczy,
Ani zajezdna żydowska gospoda;
Tu nie masz chleba i kątka dla ciebie,
U nas ciasnota i ubóztwo wszędzie,
My sami żyjem o żebranem chlebie;
Ruszaj ztąd, dziadu, nic z tego nie będzie!
A zresztą.. zostań, odpocznij za bramą,
A ja się dowiem do starszyńskiej celi,
Możeć jałmużny gwardyan udzieli —
Lecz pewien jestem, że powie to samo.«

I tak odźwierny z niechęcią na twarzy
Odszedł i zniknął w głębi kurytarzy.

Wkrótce powrócił: »Mówiłem za pewno,
Że się nie wnęcisz pod klasztorne szczyty;
Ksiądz przełożony ofuknął mnie gniewno:
»Czy my bogacze? czy my Jezuity?
Czy widzą u nas pałace w klasztorze,
Że się włóczęgi chcą wnęcać bez pracy?
Na nas poddaństwo nie sieje, nie orze,
Sami jesteśmy w Chrystusie żebracy!
Dziad, mówisz, chory, umrze gdzie pod progiem,
To nowy kłopot, chować go potrzeba.
Dajcie mu piwa i krajankę chleba,
I niech co prędzej wynosi się z Bogiem.«

Tak rzekł odźwierny i z sobą coś radzi,
W środek klasztoru żebraka przyzywa,
I dał mu w izbie klasztornej czeladzi
Krajankę chleba i szklanicę piwa.

Dziad się orzeźwił — i z bożego domu
Wyszedł pokornie cieniem kurytarzy,
I siwym wąsem mrugnął pokryjomu, —
Czy to był uśmiech, czy boleść na twarzy?
Potrząsnął głową, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

IV.

Pokulał w miasto, o kroków niewiele
Stała kaplica drewniana i nizka,
Z cmentarza brzydkie oczyszczono ziele,
Na dachu krzyżyk jak gwiazda połyska;
Kapliczka nowa, skromna i chędoga,
Że gwałtem pragniesz modlić się do Boga.
Tuż przy kaplicy stoi domek cichy,
Na dachu krzyżyk a u okien kraty,
Znać, że i tutaj zamieszkały mnichy,
Znać, że i tutaj zakon niebogaty.
Nad fórtą obraz: wielkiemi rozmiary
Skreśleni więźnie, księża i Tatary.
Starzec uklęknął i uchylił głowę;
Snadź do modlitwy zapalony szczerze,
Odpiął od pasa paciorki bukowe,
Bije się w piersi i liczy pacierze;
I słońce zaszło, i ciemno na dworze,
A starzec jeszcze z Bogiem w rozhoworze.

V.

Wtem ktoś mu rękę na ramię położy.
Dziad się obejrzał: oto kapłan przy nim —
Ubrany biało, jakby anioł boży,
Krzyż ma na piersi purpurowy z sinim.

»Wybacz mi, dziadu, żeć przerywam modły.
Znać, że odbywasz pielgrzymkę pobożną,
Lecz kiedy ciebie losy tu przywiodły,
Wiedz, że przed nocą odejść ztąd niemożno.
Nie tobie ziębnąć na wieczornym chłodzie,
Nie jesteś młodzik, krew ci się nie żarzy,
Nie szukać kąta w żydowskiej gospodzie,
Gdy masz pod bokiem klasztor Trynitarzy.
Z łaski Najwyższej, choć dostatków niema,
Lecz nie jesteśmy ubodzy i głodni.
Znajdzie się szklanka wina dla pielgrzyma,
Znajdzie się kątek na noc dla przychodni.
Chodź za mną, stary! dam ci w szczupłej celi
Misę pokarmu i siennik pościeli.«

Dziad się pokłonił i szepnął nieśmiało:
»Ej! chciałbym spocząć we schronieniu świętem!
Miałem już dzwonić, lecz męztwa nie stało,
Człowiek w łachmanach nie chce być natrętem.
Wasz klasztór szczupły, jako z wierzchu baczę,
Och, dobry księże! nieśmiałość mię bierze:
Gdzieby tam miejsce na szmaty żebracze?
Gdzieby tam waszą objadać wieczerzę?«
Ksiądz się ofuknął, i podnosząc ręce:
»Boże — zawołał — co ten człowiek plecie?
Myż Trynitarze, wykupując jeńce,
I wzdłuż i wpoprzek włóczym się po świecie?
Toć w Turecczyźnie i w tatarskim Krymie,
Kiedy obaczą, żeś pielgrzym z daleka,
Proś o gospodę w Chrystusowe Imię,
Dadzą ci miskę kobylego mleka:
A tu, mój bracie, przecię nie Tatary,
Lecz klasztor polski, co w Chrystusa wierzy!
Niema co gadać, chodź ze mną, mój stary,
Resztę modlitew skończysz po wieczerzy.«
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VI.

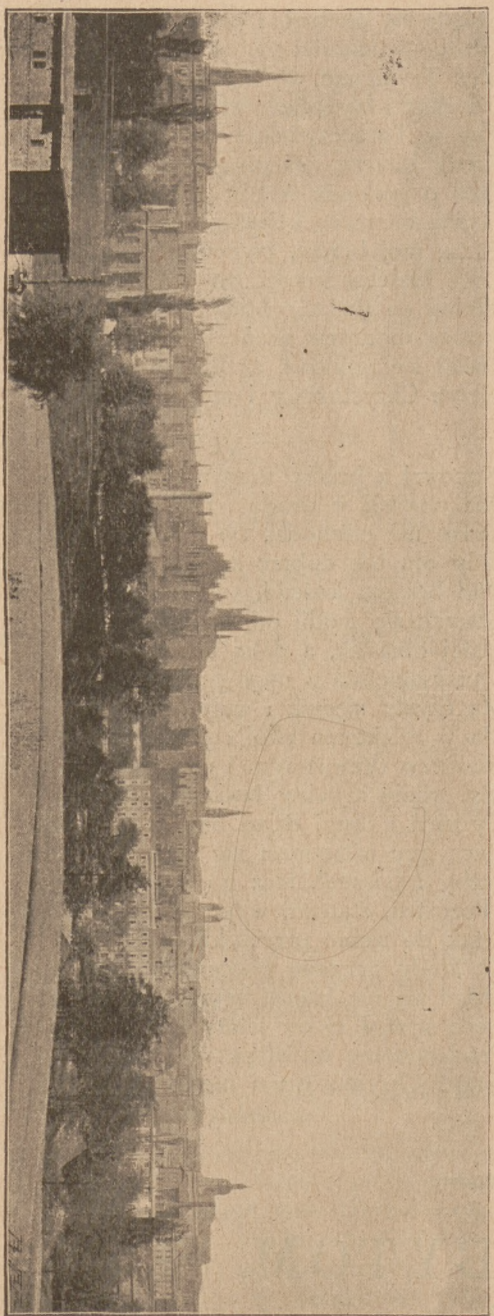
Nocował z bracią, a nazajutrz rano
Nie poszedł w drogę. Dni za dniami biegą,
Dziad nie odchodzi, bo i niema czego,
Gdy mu tak dobrze za kratą fórcianą.
Pod bokiem kościół, — korzystając z pory,
Starzec się modli od samego ranka,
Dalej obiadek, a dalej nieszpory,
I przyjacielska z ojcy pogadanka.
Ma czysty siennik i wygodną celę,
Ma w refektarzu swój stolik, gdzie jada;
Nawet w drewnianym i szczupłym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Tydzień i drugi dziad bawi z rozkoszą,
Lecz być natrętnym nie wypada dłużej;
Jużby i poszedł, lecz go księża proszą:
»Pozostań, starcze! wypocznij z podróży!«
I tak do siebie przywykli nawzajem,
Że kiedy przyszło pożegnanie rzewne,
Dziad się nie kłaniał żebrackim zwyczajem,
Lecz ściskał ojców jakby swe pokrewne —
Przełożonemu oddał ze swej szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

(Dokończenie nastąpi.)

MIASTO BYTOM.

Bytom należy do najstarszych miast Górnego Ślązka. Według podania wybudował tutaj Bolesław Chrobry około roku 1020 mały zamek, w którym podczas łowów przebywał. Górny Ślązk, przynajmniej część jego po prawem brzegu Odry położona, obfituje do dziś dnia w zwierzynę. Zresztą Kraków niedaleko; więc być może, że Bolesław robił w okolice Bytomia wycieczki i urządzał tu łowy. A dalej droga z Gniezna do Krakowa, dokąd Bolesław przeniósł swą siedzibę, prowadziła przez Górny Ślązk. Przeto jest bardzo prawdopodo-

bną rzeczą, że Bolesław wybudował zamek i sprowadził osadników, aby przy drodze był przytułek dla wszystkich, którzy odbywali podróże z Gniezna do Krakowa lub odwrotnie.



WIDOK MIASTA BYTOMIA.

Pewnych wiadomości o początkach Bytomia nie ma. Nazwa miasta pochodzi od słowa »byt«, to znaczy tyle co osada. Gdzie zamek Bolesławowski stał, nikt nie wie z pewnością. Jak w ogóle żaden zabytek z czasów piastowskich się do dziś nie przechował, tak też nie ma ani jednego kamienia ze zamku królów i książąt polskich w Bytomiu. Przypuszczają, że zamek stał na rynku, gdzie dziś bóżnica wybudowana. Około zamku utworzyła się z czasem mała osada, której mieszkańcy w razie niebezpieczeństwa do zamku chronić i ztamtąd bronić się mogli. Pierwszy kościół katolicki stanął poza miejscowością, na pagorku zwanym »Sutu hale« (sutu=święty, hale=goły szczyt pagórka, a więc sutuhale tyle co »święta górka«), gdzie w pogańskich czasach czczono bożków. Na owym pagórku stoi dziś kościółek świętej Małgorzaty, wybudowany przed kilkunastu laty.

Piotr Włast założył w roku 1139 we Wrocławiu opactwo benedyktyńskie, które wysyłało niedługo potem na wsze strony Ślązka misyonarzy. Było to za czasów Władysława II, króla polskiego, gdy misyonarze dobili do Bytomia i tu na owym pagorku wybudowali kościół i założyli parafią.

Bytom, jak w ogóle cała południowa część dzisiejszego Górnego Ślązka po prawym brzegu Odry położona, należał aż do roku 1179 do ziemi krakowskiej, do Małopolski, a więc do starej Polski. Kazimierz Sprawiedliwy chcąc sobie pozyskać we walce z Mieczysławem Starym o tron krakowski pomoc księcia Mieczysława Raciborskiego, podarował mu kawał ziemi krakowskiej z grodami Bytomiem, Owięcimem, Zatorem i Pszczyną. Gdyby nie ta darowizna, to Bytom nie byłby należał do Ślązka i może nie byłby dzielił losu tej dzielnicy. Darowizna nastąpiła podobno przy sposobności chrztu syna Mieczysława.

Bytom powoli się podnosił. Leżał przy drodze z Gniezna do Krakowa; wskutek czego mieszkańcy korzystali z handlu i przemysłu, o ile to w owych czasach było możliwem. Górnictwo już wówczas przyczyniło się do podniesienia dobrobytu mieszkańców. Od niepamiętnych czasów wydobywali nasi przodkowie w Bytomskiem rudę żelazną i wytapiali żelazo, z którego umieli dobrą broń wyrabiać. Około roku 1200,

podług dokumentu jeszcze utrzymanego, kwitnęło w okolicy także górnictwo na kruszec ołowiu, który zawiera wiele srebra. Rozumie się, że były także huty małe, w których kruszcze wytapiano za pomocą węgla drzewnego. Po śmierci Kazimierza, syna Mieczysława, dostał się Bytom w r. 1230 pod opiekę Henryka Brodatego, księcia wrocławskiego. Niedługo potem została ziemia Bytomska przydzielona do księstwa Cieszyńskiego. Książę Władysław cieszyński zaraz zajął się gorąco swoją spuścizną. Otoczył Bytom murem a w roku 1233 wybu-

(Gran) wykupieni przez Władysława Cieszyńskiego, wrócili później do kraju.

Od tego czasu zaczyna się germanizacya miasta i okolicy, która jednak do dziś się nie udała. Przeszło 600 lat trwa już germanizacya, lecz nie osięgnęła swego celu. Książęta sprowadzali niemieckich osadników, po części, aby kraj po najeździe Mongołów znów zaludnić, po części, aby się skuteczniej oprzeć wielkiemu księciu krakowskiemu. W roku 1254 obdarzył Władysław niejakiego Henryka, Niemca, miastem i Łagiewnikami, wsią niedaleko miasta położoną.



NA PASTWISKU.

dował kościół N. P. Maryi. Za czasów najazdu mongolskiego ucierpiało miasto, również jak cały Ślązk, nie mało.

Ponieważ górnicy, tworząc osobne oddziały, i obywatele, o ile mogli, wstępowali w szeregi wojska książąt: Mieczysława opolskiego i Władysława cieszyńskiego i brali udział w potyczce z Mongołami pod Opolem, gdzie próbowano powstrzymać przeprawę Mongołów przez Odrę, a później pod Lignicą, dla tego miasto nie mogło się obronić przed Tatarami. Część ludności podług podania, wzięli Mongołowie w niewolę do Węgier, zkąd za pomocą arcybiskupa w Strygonii

Miasto otrzymało prawo magdeburskie a Henryk sprawiał urząd kasztelana w Bytomskiem. Nie długo potem był św. Jacek w Bytomiu i okolicy. Tam, gdzie według legendy kazania miewał, wybudowano kościółek (św. Jacek w Rozbarku.) W tym też czasie (1257) założył Władysław klasztor Minorytów (Franciszkanów), przy którym był kościół św. Mikołaja. Klasztor jest obecnie własnością miasta, które go przebudowało i przeznaczyło na szkołę ewangelicką. Kościół przebudowany w roku 1783 przez Franciszkanów, dostał się (zarazem ze szkołą) w r. 1813, przy seku-

laryzacyi czyli zabraniu dóbr kościelnych przez fiskusa pruskiego, miastu, które go początkowo za lazaret, później za magazyn używało i sikawki ogniowe w nim przechowywało. W roku 1833 sprzedało miasto za 300 talarów kościół protestantom, którzy go dotąd posiadają.

Drugi syn Władysława, Kazimierz, nazywał się księciem na Bytomiu i Koźlu; Bytom stał się więc w roku 1286 siedzibą udzielnego księcia piastowskiego. Lecz nie długo było księstwo Bytomskie niezawisłem, albowiem Kazimierz Bytomski, zarazem książę na Opolu, złożył w roku 1289 w Pradze czeskiej hołd królowi Wacławowi i uznał się jego zawisłym lennikiem. Odtąd Bytom należał do Czech aż do r. 1475. Zamek książąt Bytomskich stał niedaleko kościoła św. Mikołaja. Szczątki muru miejskiego, zapewne z owych czasów pozostałego, jeszcze przed paru laty można było widzieć przy ulicy Dyngosa. Kazimierz był bardzo hojnym dla kościołów i klasztorów. Obdarzył dobrami klasztory w Czarnowąsach i Rudach, a mianowicie też kościołek i śpital Św. Ducha przy Krakowskiej ulicy, dla utrzymania którego pomiędzy innemi przeznaczył dochody, podatki i kary z Chorzowa i Dębu dnia 1 Kwietnia 1299. Dobra Chorzowskie i Dębskie należały wówczas do opactwa Miechowskiego, a teraz (od r. 1821, odkąd Górny Ślązk odłączony został od dyecezyi krakowskiej a przyłączony do wrocławskiej) stolicy książęco-biskupiej. Kościół Św. Ducha w swej obecnej formie pozostał od r. 1721. Dla miasta uczynił Kazimierz bardzo wiele, starając się o jego rozwój i podniesienie. Lecz oprócz fundacyi dla kościoła i szpitala Świętego Ducha, w którym w latach przed śmiercią (1312) sam pielęgnował chorych, nie ma żadnego śladu jego działania. Z jego synów odziedziczył Władysław Bytom, Ziemowit Gliwice, Bolesław Oświęcim. Władysław podarował w roku 1323 klasztorowi Cystersów w Mogile pod Krakowem dobra Wielka Dąbrówka, do których podobno także Miejska Dąbrowa i Czarnylas należał.

Klasztor Cystersów sprzedał w roku 1538 owe dobra za 800 florenów po 30 groszy polskich, ponieważ nie miał wielkich dochodów ze spustoszonej przez wojny własności. Burmistrz Jan Kneflik postarał się natychmiast o królewskie potwierdzenie zakupna, obawiając się margrabiego Jerzego Brandenburskiego, który wówczas siedział w Tarnowskich Górach i trzymał księstwo bytomskie w ręku. Miasto posiada dziś tylko kilkanaście mórg w Wielkiej Dąbrówce; Czarnylas i Miejska Dąbrowa zaś, choć uszczuplone, lecz jednak są jeszcze własnością miasta obejmując 1200 mórg lasu (Dąbrowa) i 1700 mórg powierzchni (wytrzebiony Czarnylas). Własnie toczą się obrady nad sprzedażą Czarnegolasu, pod którym są bogate pokłady węgla (268 udziałów kopalnianych posiada miasto).

O dalszych zdarzeniach z historyi Bytomia nie można wiele pisać, ponieważ po prostu brak wiadomości. Miejskie (zresztą szczupłe) archivum czyli zbiór dokumentów nie dostarcza bliższych szczegołów, a kościelne dokumenta dotąd nie są dla publiczności opracowane. Śp. ks. prob. Szafranek zamierzał to uczynić, lecz przedwczesna jego śmierć przeszkodziła temu dziełu.

Król polski Kazimierz przybył w r. 1345 na Górny Ślązk, do Pszczyńskiego; przypuszczają, że dotarł także do Bytomskiego, ponieważ książę Władysław Bytomski jako lennik czeskiego króla Jana stawiał Kazimierzowi opór. Niedługo potem zmarł Władysław. Księstwo Bytomskie odziedziczył syn jego Bolesław, który zmarł 1355 bez potomków męzkich. Pomiędzy spadkobiercami powstały spory, które czeski król, Karol IV rozstrzygnął: Połowa Bytomia należała do księcia Cieszyńskiego, połowa do Oleśnickiego. Polityczne te spory wpłynęły także na kościelne stosunki. Proboszcz przy kościele świętej Małgorzaty i proboszcz przy kościele N. P. Maryi kłócili się o dziesięcinę i inne dochody. W tę kłótnię wciągnęli także mieszczan, którym proboszcz kościoła św. Małgorzaty obiecał podobno znaczną ulgę w podatkach na kościół,

jeżeliby stanęli po jego stronie. Pomimo, że papież przyznał słuszność proboszczowi przy kościele N. P. Maryi, Piotrowi z Koźla, rzuciło się rozjuszone mieszczaństwo na niego i jego kapelana Mikołaja z Pyskowic i utopiło obu w stawku pod kościołem św. Małgorzaty. Miało się to stać w roku 1363. Papież obłożył miasto wielką klątwą, która 10 lat ciążyła na mieście, aż dopiero czterech rajców miejskich uprosiło w Rzymie jej zniesienie.

W roku 1430 spalili Husyci Chorzów i Dąb a następnie oblegali i zdobyli (13-go Kwietnia) Bytom, który się jednak przed spaleniem i splądrowaniem okupił pieniędzmi.

W roku 1476 połączył węgierski król Maciej Korwin obie części miasta i księstwa Bytomia w ten sposób, że zabrał połowę Przemysławowi Cieszyńskiemu, ponieważ ten wojował przeciw królowi, a połowę kupił od Konrada Oleśnickiego zmuszając go do sprzedaży po wygranej bitwie. Bytom nie był już odtąd własnością książąt piastowskich. Maciej dał Bytom Janowi Zierotinskiemu w zastaw za 8000 dukatów; ten zastawił Bytom księciu Janowi Opolskiemu, który go odstąpił w roku 1526 margrabiemu Jerzemu Brandenburskiemu. W ręku Brandenburczyków pozostał Bytom aż do roku 1623, w którym austryacki cesarz i król czeski Ferdynand II obdarzył hrabiego Henkla na Świerklańcu (Najdeku) dobrami Bytomskiemi. Podczas 30 letniej wojny splądrowało Bytom 5 razy wojsko hrabiego Mansfelda, księcia Ernesta Weimarskiego, Szweda Torstensona i Waldsteina. W roku 1683 był król Jan Sobieski w Piekarach pod Bytomiem, zkąd przez Bytom do Gliwic i dalej na Wiedeń podążył. W obecności polskich panów wybrany królem polskim August II, elektor saski, w roku 1697 w Piekarach publicznie wyznał katolicką wiarę, którą rok przedtem przyjął w Baden pod Wiedniem.

Górnictwo, dziś bardzo rozwinięte, które podporą materyalnego rozkwitnięcia miasta, dopiero w tem stuleciu podniosło się tak znacznie. Miasto liczy dziś przeszło 45,000 mieszkańców. Już w 14-tym stuleciu »złoty Bytom« miał pewną przewagę nad innemi miastami Górnego Ślązka. Obecnie znów stoi na czele wszystkich miast Górnego Ślązka, będąc głównem miastem obwodu przemysłowego, po westfalskim największym i najważniejszym w Prusiech i Niemczech obwodzie przemysłowym.

POŁÓW ŚLEDZI NA WYBRZEŻACH NORWEGII.

Trudno o dziwniejsze od śledzia stworzenie. Obyczaje tego mieszkańca głębin wcale nie są tak dokładnie zbadane, jakby się zdawać mogło. Wśród wszystkich gatunków stworzeń o zimnej krwi i łuskowatym pancerzu, ten jest najliczniejszym, bo i któż zliczy te tłumy corocznie się z głębin morskich wyłaniające, u wybrzeży wszystkich krain północnej Europy, których miliardy padają ofiarą żarłocznych ryb, miliardy chciwości ludzkiej, a przecie niemniej ich liczne zastępy peryodycznie powracają. Śledź ukazuje się i znika z podziwu godną akuratnością. Jakież strony są jego ojczyzną? Może on czas jakiś przebywa w odległych morzach podbiegunowych, i tam w przepaściach, do których się żadna ołowianka nie dostaje, założył swe tajemnicze królestwo? Może z tamtąd corocznie wyrusza jak koczujący stepów mieszkańcy dla przepatrzenia odległych mórz? Uwierzy temu, kto wierzy w królów śledzi, dowodzących odziałem poddanych o srebrnołuskich zbrojach. Wiadomo, że co wiosny przybywają tłumy śledzi na wybrzeże Norwegii, ale w lecie i jesieni zjawiają się inne oddziały młodzieży, przybywające zapewne z jakich oddalonych miejscowości.

Niezliczone oddziały śledzi zjawiają się co roku, to niedaleko Szkocyi, to w morzu Bałtyckiem, to na wybrzeżach Holandyi, to w zatokach wybrzeży Norwegii i Szwecyi po za Sundem i Kattegatem, a człowiek dokładnie o ich przybyciu uwiadomiony, wszystko na ich przyjęcie przygotować może. Skąd przybywają, dokąd dążą, niewie on wcale; dla rybaka i kupca wystarcza wieść o ich przybyciu; stara się z ich obecności korzystać.

Śledź trzy razy do roku ukazuje się na wybrzeżu Norwegii, ale główny połów odbywa się w lutym. Jest to połów wiosenny, i dostarcza największej liczby, najtłuściejszych i największych ryb. Na niewielkiej przestrzeni między Bergen i Stawanger znajduje się wtedy przeszło 2000 łodzi i 12000 rybaków, łówką zajętych. Rybacy ci już przy końcu stycznia udają się na wyspy, odbierają od kupców zadatki, najmują place i chaty, zawiązują spółki, oznaczają stopę podziału, miejsca, w których im będzie wolno wyrzucać siecie, zawierają umowy z odbiorcami ich towaru i oczekują przybycia tłumów śledzi, naprzeciw którym codziennie aż na pełne morze wypływają, wypatrując upragnionego, niebieskawo srebrnego blasku, zwiastującego zbliżenie pożądanej zdobyczy.

Zanim to nastąpi, oznajmują szybkie a straszne posły zbliżenie wędrowców. Samotne wieloryby przesuwają koło brzegów i bywają witane okrzykami radości; bo wieloryb to zwiastun śledzia. Zdaje się jakoby otrzymał polecenie ostrzegania ludzi, iż do walki gotowi być mają. Jego sapanie wśród wodnych przestrzeni, jego wodotryski wznoszące się po nad fale, rozbryzgując się w tysiączne świetlane krople, to mowa jego: »Baczność,« zdaje się mówić: »wydajemy je wam, bądźcie gotowi i żwawo do dzieła.« Tak swoje poselstwo sprawiwszy, wraca czemprędzej wieloryb do swych towarzyszy, i wraz z nimi zapędza zaniepokojone śledzie ku wybrzeżu, gdzie biedny ich tłum uciekając przed jednym strasznym wrogiem, wpada w ręce o wiele groźniejszego; bo tu czekają nań rybacy z sieciami swojemi. Każda łódź zawiera ich 36, każda 12 stóp długości. Takich sieci zaczepiają po kilka razem, ustawiają je szeregiem, obciążywszy u dołu ciężkimi kamieniami. Większe sieci podarłyby się, bo ława śledzi tak jest zbitą, że w razie dobrego połowu, w każdym oczku sieci, śledź jeden się zaczepia. Gruba ta ława sięga nieraz do dna wybrzeża, tworząc ścianę wysoką i takie wywierającą na dno łodzi ciśnienie, iż te nieraz na kilka cali z wody wyparte bywają. Ośmnaście sieci wyrzuca na raz łódź, a zaledwie te ściągnie połowem obładowane, nastawia podobnąż ich liczbę. Zanim się te napełnią usiłują rybacy z ofiarami swej przebiegłości dojść ku brzegom, gdzie na nich czeka kupiec. Tam liczą i kupcom zdają ofiary. Szalupy stoją w pogotowiu; napełniają je rybami i spieszą z niemi do Bergen albo Stavanger.

Tam u niemieckiego mostu nowy przedstawia się widok. Robotnicy wybierają ryby z łodzi i układają je w stosy w przejściach obszernych, po pod domami. Otoczona beczkami, siedzi tam liczna ludzi gromada, po większej części kobiety, i z nożem w ręku oczyszcza śledzie. Koło nich robotnicy wywracają taczki pełne śledzi i wkrótce kobiety są niemal zasypane ryb stosami; każda chwyta sztukę po sztuce, przecina jej gardło i z niezmierną zręcznością od razu usuwa wnętrzności. Tak oczyszczone rzucają do czekających kar, a zręczność robotnic jest tak wielka, że tysiące sztuk codziennie przez ręce ich przechodzi. Kary napełnione, wiozą robotnicy na miejsce solenia, tam pakują śledzie do beczek i ropą słoną zalewają; beczki zabite przez bednarzy gromadzą w stosy w olbrzymich składach, bo one już do wywozu gotowe. Jeśli zauważymy, że ostatnimi czasy z samego Bergen rocznie 300,000 beczek, każda po 1200 sztuk wywożonych bywa, będziemy mieli wyobrażenie o znaczeniu i ożywieniu tego handlu. Wszystkie warstwy ludności ciągną zeń niemałe korzyści.

Drzewa na beczki dostarczają lasy

a ich właściciele zarówno jak wieśniacy zwożący drzewo, rzemieślnicy, którzy je obrabiają, kobiety i dzieci oczyszczające śledzie, mężczyźni przewożący je, rybacy i wioślarze, sternicy, a przedewszystkiem kupcy dzielą się niemałymi zyskami.

Połów trwa bez przerwy cztery tygodnie a niekiedy i dłużej. Olbrzymia jest liczba ryb ułowionych w tym przeciągu czasu, a jednak liczba pozostałych zdaje się niezmniejszoną. Coraz nowe, zawsze niezliczone tłumy cisną się z głębin ku powierzchni wód, a tuż koło wybrzeży, nieraz pośród łodzi, leżą na straży wieloryby, niby uczone psy owczarskie, i spędzają trwożliwą trzodę, ilekroć zdaje się chcieć się oddalić. Człowiek zawarł z wielorybem przymierze przeciw tym nieszczęśliwym, bezbronnym więźniom, którzy zdają się liczbą swą z ich usiłowań naigrawać. Setki wielorybów przygnało tu te tłumy, dostrzeżone jeszcze na pełnem morzu, gdy parte nieznaną jakąś siłą, wyłaniały się z głębiny.

Podobni, do śmiałych rabusiów na pustyni, czyhały one na ciąg śledzi, codzień go napadały, zaspakajały głód swój, a teraz leżą niby olbrzymie kłody drzewa, bez ruchu przed wałem rybim, nie mogącym im już ujść, a otworzywszy olbrzymie paszcze, wciągają za jednem odetchnieniem niezmierną ich liczbę do lejkowatej swego gardziela otchłani. Łatwo sobie wyobrazić, ile beczek śledzi te olbrzymy codzień pochłaniają, ale rybacy nie przeczą im tej zdobyczy, przecież mają jej więcej, aniżeli jej złowić potrafią. Wieloryb jest przeciwnie przedmiotem ich troskliwości, nie wolno go zaniepokoić, spłoszyć, wszak to towarzysz, przyjaciel i sługa lubiony, a zwierz zdaje się o tem wiedzieć, bo zwykle bojaźliwy, i drażliwy, leży on podczas połowu spokojny pośród łodzi, pochłaniając bez troski o otaczający go zgiełk swoję część zdobyczy.

Szczęśliwymi zowią się rybacy, gdy wrogowie śledzi, napędzają je aż ku samem wybrzeżu, aż do drobnych zatok, któremi brzeg nastrzępiony. Wtedy zatokę zamykają natychmiast wielkiemi sieciami i wszyscy przybysze zgubieni; wyławiają je powoli, wygodnie. W takim wypadku bywa połów niezwykle obfity, nieraz 8 do 10 tysięcy beczek śledzi otrzymano z jednej zatoki, a drugie tyle cisnących się ryb zginęło od uduszenia. Bez przesady zapewnić można, iż rok rocznie, na wybrzeżach Norwegii, Anglii i Holandyi, oraz na morzu Bałtyckiem, przeszło 1,000 milionów śledzi łowią, a o wiele większą liczbę pożerają drapieżni ich wrogowie. Ku końcowi marca tłumy śledzi coraz głębiej się zatapiają, wreszcie nikną bez wieści. Połów skończony; rybacy wracają do domów i otrzymują od kupców należną im kwotę, która pomimo sprzyjających okoliczności wcale nie wielką bywa.

A przecież wśród wielu prac i trudów ludzkich, nie masz może tak strasznego, jak połów ryb na morskich wybrzeżach. Łatwo wyobrazić sobie grozę północnego morza przy końcu stycznia, gdy fale się srożą i z niewypowiedzianą wściekłością o nagie skały się łomią. Łatwo wyobrazić sobie rozszalałe bałwany, mroźne fale, zimne ulewy, burze śnieżne, żywioły rozkiełznane; w obec tych niebezpieczeństw i przeciwności, zadziwia, nas wytrwałość człowieka, śmiałość jego woli, chciwość zysku, misterność i siła jego fizycznych i duchowych własności. On sztuką tylko stał się panem wiecznie ruchliwego żywiołu, pogardzając życiem, tylko ostać się na nim może, dla niego niczem burze i lody i najstraszniejsze próby. Namiętność, szał dziwny go opanowywa; ryby przybyły, on musi je łowić, zabijać, wydzierać wielorybom i orłom! Uczucia te wyssał on z mlekiem matki, oprzeć się im nie może.

Dajcie biednemu rybakowi, dobre, mogące go wyżywić pole, przy połowie tej pracy, jaką wykonywa na swem wywrotnem czółnie, niem pogardzi — tak jak myśliwy pogardza wczasem w wygodnem mieszkaniu. Jeden tęskni do szmeru fal, tak jak drugi do leśnej gęst-

winy; jeden marzy o olbrzymich sieciach i tłumach ułowionych srebrno-łuskich ryb, drugi o pasących się trzodach rogaczy, huku swego strzału i krwi przelewie. O domowej zaciszy, o falowaniu pól kłosem okrytych, o niebiańskim spokoju rodzinnego życia nie wiedzą rybacy. Gór przepastne wyżyny, fal tajemne głębiny, milsze rybakom i góralom od spokojnych uciech wielkich miast.

BICZOWNICY.

Biczowanie się, w celu stłumienia namiętności i umartwienia ciała, było już od XI wieku praktykowane na zachodzie Europy przez zakonników, ludzi świeckich a nawet monarchów. Dopiero w roku 1260 we Włoszech ukazało się pierwsze bractwo biczowników publicznych i nagle urosło w całe tłumy przebiegające Francyę, Niemcy i Włochy. Nie upłynęło roku, gdy biczownicy pielgrzymujący po Niemczech nawiedzili i Polskę. Długosz powtarzający opisy współczesnych kronikarzów, tak nam ich opisuje: »Ludzie do tego bractwa należący, chodzili procesyami z zakrytemi głowami nakształt mnichów, a obnażając się po pas, smagali jedni drugich po plecach biczyskami kręconymi z poczwórnych rzemyków, mających w końcach węzełki. Obchodzili stacye, odpusty i czynili dziwne nabożeństwa, śpiewając pieśni, każdy w swoim języku, niestworne i grube; była to bowiem hałastra ludzi rozmaitego plemienia i języka. Sami się nawzajem, nie będąc księżmi, słuchali spowiedzi i odpuszczali sobie największe grzechy. Gdy zaś to bractwo przybyło do Krakowa, po zwiedzeniu kościołów i dostąpieniu niby odpustów, natychmiast z niego wynosić się musiało. Prandota bowiem, biskup, zagroził onym biczownikom więzieniem, gdyby natychmiast z miasta nie ustąpili. W innych także dyecezyach polskich wyśmiani zostali i pogardzeni, gdy Janusz arcybiskup gnieźnieński i inni polscy biskupi wraz z książętami polskimi powydawali zakazy, ażeby nikt pod ciężkiemi karami i utratą majątku nie łączył się z taką sektą gorszącą.

W r. 1351 z obawy powietrza grasującego na Węgrzech, zgraja biczowników z chorągwiami i śpiewem zawitała do Polski, ale za zgodną uchwałą biskupów polskich, wypędzona z Polski ta sekta i bullą apostolską zniesiona.

Około r. 1587 ojcowie Jezuici wprowadzili na nowo zwyczaje dobrowolnej pokuty przez udręczenia cielesne t. j. biczowanie się, noszenie włosiennic i pasków drucianych.

Kiedy r. 1596 odprawiano uroczyste suplikacye dla odwrócenia nieszczęść chrześciaństwo dotykających, bractwo miłosierdzia, do którego należało wiele najznakomitszych osób senatorskiego stanu, postępując rzędem, biczowało się. R. 1603 w Krakowie, podczas jubileuszu Klemensa VIII papieża, Zygmunt III z bractwem miłosierdzia, worem okryty, obchodził wszystkie kaplice, biczując się i krzyżem leżał. Zachowywali ten zwyczaj i synowie jego: Władysław IV i Jan Kazimierz. Szczególniej atoli odznaczało się piękną muzyką i wytrwałem biczowaniem bractwo św. Anny w Krakowie, które co piątek w wielkim poście podczas śpiewania psalmów pokutnych trzykrotnie najmocniej siebie siekło. Gdy w dni mięsopustne jedni oddawali się bezgranicznej wesołości i hulankom, jednocześnie kościół św. Barbary nie mógł w swych murach pomieścić pokutujących biczowników. Albrycht Stanisław Radziwiłł, sam najsurowszy swojego czasu biczownik, w pamiętnikach swoich wspomina, że r. 1638 król Władysław IV, niektóre groby Pańskie w Warszawie odwiedził, a wieczorem w czasie procesyi między kapnikami dyscypliny zażywał. Biczujące się niegdyś bractwo kapników przechowało dotąd w Krakowie starożytny swój ubiór, w którym występuje corocznie na procesyi Bożego Ciała.

W ZAROŚLACH AUSTRALSKICH.

Było to już późne lato podczas wielkiej suszy w Australii.

Palące promienie słońca padały wprost na smutny i pusty las drzew gumowych rozciągający się po nad brzegiem rzeki Erskine, w niektórych tylko miejscach poprzecinany niewielkiemi łączkami, a przy najmniejszym powiewie wiatru podnosiły się obłoki kurzu, który zwolna później opadając, pokrywał jednostajną szarą barwą cały krajobraz.

W innej porze roku obfita w wodę Erskine teraz przedstawiała się jako szereg błotnistych sadzawek, w pobliżu których kilku hodowców trzymało swe stada owiec.

Dla zapobieżenia łatwo mogącym wyniknąć sporom granicznym, przy tak skąpo znajdującem się na łąkach pożywieniu, poumieszczano owczarnie w znacznej od siebie odległości.

Owczarze i ich Hutkeepers (stróże owiec) w takiej porze roku prowadzili prawdziwie próżniacze życie, nie było bowiem obawy, aby powierzone ich pieczy owce opuściły, przeznaczone dla nich pastwiska, gdyż po za niemi rozciągała się zeschnięta zupełnie pustynia.

Całe więc zajęcie ograniczało się na baczeniu, aby owce nie zostały rozszarpane przez dzikie zwierzęta, lub też, aby nie kradli jagniąt, ciągle włóczący się i wiecznie zgłodniali czarni tuziemcy.

Rano i wieczór każdego dnia owczarz liczył swe stada, a znalazłszy wszystko w porządku, powracał do szałasu z kory drzewnej i razem ze swym pomocnikiem albo szedł spać, albo przepędzał dzień marząc o licznych życia rozkoszach.

Na obiad, słonina, baranina i damper, które stanowi ciasto, z mąki pszennej wodą zarobionej i bez niczego więcej upieczone, wskutek czego robi się twarde jak kamień, rano zaś i wieczorem damper, słonina, herbata i haust wódki, oto codzienny, nigdy nie zmieniający się spis potraw, których przyrządzanie było obowiązkiem Hutkeeper'a. Obydwaj palili przytem zły tytoń, którego dostarczać musiał właściciel owiec, według warunków zawartego kontraktu.

Nad Ponad Gumul, który w czasie suszy jest tylko błotnistym stawem, a w porze deszczów zmienia się w obszerne jezioro, gdy Erskine wylewa swe wody na płaski grunt, stał szałas, zbudowany a raczej sklecony z kilkunastu cienkich pni drzewa gumowego pokrytych korą Stringybark, dziwnego rodzaju drzewa, które podobnie jak wąż corocznie zrzuca swą skórę, pasami od 20 tu do 30 tu stóp długimi.

W sposób tylko co opowiedziany pędziło w nim życie dwóch ludzi. Owczarzem był Robert Adams rodem z Anglii, zwykle tu w pustyni nazywany Bob, który też swego towarzysza nie nazywał inaczej jak Billy, chociaż tego imieniem było Wilhelm.

Bob był już niemłody, o czem świadczyła siwizna, trzymał się jednak dobrze, a twarz jego zapowiadała o doskonałem zdrowiu. Różne koleje przechodził on w swem życiu, deportowany z Anglii za jakieś przestępstwo, długie lata zmuszonym był pracować jako więzień przy budowie australskich dróg, dopóki nie otrzymał »ticket of leave« czyli pozwolenia swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Popracowawszy czas jakiś w Sydnej i Bathurst, spróbowawszy także szczęścia w kopalniach złota, gdzie mu się nie powiodło, przyjął w końcu miejsce owczarza, które to skromne i spokojne stanowisko nie bardzo mu się podobało.

Szczęśliwym mógłby się nazwać dopiero wtedy, gdyby mógł być szynkarzem w jakiej górniczej osadzie, lecz nie posiadając ani pieniędzy, ani kredytu, dotychczas nie był w możności osiągnięcia celu swych marzeń.

Gdy matka Wilhelma siedząc przy jego kołysce marzyła o przyszłości swego syna, z pewnością nie przyszło jej nigdy na myśl, że będzie on kiedyś pomocnikiem owczarza.

Był to przystojny mężczyzna lat około 25; z każdego jego ruchu widocznem było, że otrzymał staranne wychowanie. Gdy raz cudzoziemcy zwiedzający kraj przybyli do owczarni, stary Bob zdumiony został łatwością, z jaką jego towarzysz, a właściwie mówiąc parobek, rozmawiał z tymi przybyszami w ich ojczystym języku. Od tej chwili stosunek ich uległ zmianie, z której może sam Bob nie zdawał sobie należytej sprawy, lecz faktem jest, że sam nie umiejąc czytać, ani pisać, czuł nad sobą moralną przewagę ukształconego człowieka, chociaż ten był niczem więcej, jak jego Hutkeeperem.

Bob ze wszystkiemi sprawami tyczącemi się życia squaterów lub owczarzy, doskonale obeznany, w krótkim przeciągu czasu wyuczył swego pomocnika przygotowywać herbatę na sposób australski, smażyć baraninę i piec w popiele dampery.

Jedyną rozrywką w tem monotonnem i nudnem życiu była stara ręczna harmonika, z której czasami wieczorami wydobywał Wilhelm tęskne melodye swego kraju, które w smutnej australskiej pustyni jeszcze żałośniej brzmiały.

Obydwaj ci ludzie nosili ubranie zwykłe wszystkim mieszkańcom australskich zarośli, tj. takie, że wobec niego odzienie europejskich wyrobników jest szczytem wytworności, mimo tego jednakże Wilhelm nawet pod względem powierzchowności o wiele przewyższał swego przełożonego.

Jak tysiące innych, przybył on do Australii z mocnem postanowieniem zrobienia w krótkim czasie majątku — jak tysiące innych zamiast bogactwa znalazł nędzę, którą odpędzić mógł jedynie nadmierną i wyczerpującą siły pracą. Wkrótce też nie nawykły do fizycznej roboty zachorował i przyszedłszy do zdrowia, ujrzał się w obcym kraju, bez grosza w kieszeni i bez żadnej nadziei otrzymana z kądkolwiek bądź pomocy; w takich okolicznościach, gdy Mr. Wentworth właściciel licznych stad owiec zaproponował mu miejsce owczarka, przyjął je ochotnie, aby przynajmniej pierwsze potrzeby życia mieć zapewnione.

Późnym wieczorem powróciwszy z codziennego sprawdzania stad, znalazł Bob swego towarzysza zajętego przyrządzaniem wieczerzy. Kocioł z wodą do herbaty pomrukiwał przy ogniu rozniecenym na najprostszem, z trzech tylko kamieni polnych urządzonem ognisku, a przyjemny zapach tylko co upieczonych damperów rozchodził się po całym szałasie. Przybity do pieńka wierzch od skrzyni zastępował miejsce stołu, a na nim postawiona świeca łojowa, słabe tylko naokoło rzucała światło.

— Przychodzicie dziś później niż zwykle — odezwał się Wilhelm — przed godziną słyszałem wasz strzał, tylko nie wiem czy do jakiego zwierza, czy też do złodzieja był wymierzony.

— Zobaczyłem młode tłuste kanguru jak przyszło pić i wsadziłem mu cały nabój śrótu w grzbiet — odpowiedział Bob stawiając w kącie strzelbę — ale te bestye mają takie twarde życie, że mimo postrzału uciekło do lasu i idąc za śladami krwi całą godzinę napróżno go szukałem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Baron Marszall, którego podobiznę dziś podajemy, jest z urodzenia Badeńczykiem. Był tam prokuratorem. Później wysłał go rząd badeński do Berlina jako zastępcę Badenii w radzie państwa. Tam poznał go cesarz Wilhelm II i powołał na następcę Herberta Bismarka, gdy ten ostatni razem z ojcem ustąpił z urzędu. Marszall jest w parlamencie dość lubiany; wiadomo że wytoczył proces Leckertowi i Lützowowi, którzy w nikczemny sposób na niego w gazetach podejrzenia rozmaite rzucali. W procesie tym wykazało się, że owych wiadomości dostarczał komisarz policyjny Tausch. Tausch miał z tego powodu proces. W procesie tym wyszły na jaw rozmaite nieczyste sprawy. Tauscha jednak za to wszystko nieukarano. Za to baron Marschall podał się do dymisyi a na jego miejscu będzie v. Bülov, dawniejszy poseł w Włoszech.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Światło

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 19-go Sierpnia 1897. **Nr. 33.**

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Promyk słońca.

(Z angielskiego).

I.

Zimny i ostry wiatr przenikał do nędznej izdebki Szymona Miętusa, łatacza obuwia; czuł on go dobrze ilekroć przerwawszy swą robotę, zacierał skrzepłe ręce i grzał je nad kilkoma węgiełkami żarzącymi się w kominie.

Zimno było i na dworze, to też bogaci i dobrze odziani niechętnie wyjmowali ręce z zarękawków i kieszeni, aby rzucić grosz zziębłym i zgłodniałym żebrakom i czemprędzej zmierzali na obiad ku domowi. Szymon Miętus nie miał dziś obiadu, zajmował tylko tę nędzną izdebkę, ale nigdy nikogo o pomoc nie prosił: »Przecież z głodu nie zginę,« mawiał, »mam trochę sera i chleba a czasem kęs mięsa; a przecie ciężko to pracować bez przerwy i nic nie mieć w zamian, oprócz tej nędznej dziury, w której człek żyje. O to nie życie; ot bieda!«

Biedny Szymon zawsze kończył tym wykrzykiem, który się wyrywał z jego piersi z jakimś głuchym jękiem.

Szymon był zawsze biednym i zdawało się, że nim zawsze będzie, bo nie pojmował, że może los swój poprawić własną pracą, a sądził, że obowiązkiem bogatszych przyjść mu w pomoc i długo żył, oczekując chwili, w której jakiś bogacz dźwignie go z jego niedoli i zapewni mu byt niezależny. Wierzył w to święcie, to też ilekroć się zbliżył do człowieka zamożnego, patrzał na niego z niechęcią, na swój los narzekał, tak, iż wkrótce nikt mu już nie chciał przyjść z pomocą, wszyscy go opuścili; nic mu nie pozostawało, jak łatać obuwie sąsiadów za lichą zapłatę, zaledwie wystarczającą dla opędzenia najkonieczniejszych potrzeb.

Ku wieczorowi tegoż zimnego i wietrznego dnia, Szymon skończył robotę, zapalił fajkę i przygotował się do spędzenia wieczoru, tak jak wszystkie spędzał, paląc i rozmyślając. Wyciągnął nogi, oparł głowę o poręcz krzesła i zaczął puszczać kłęby dymu, mrucząc od czasu do czasu: »Ot bieda« niby wtór do swych myśli. A smutne to były myśli.

»Nigdym czarniejszej nie widział dziury — nigdy promyka słońca, ani w zimie, ani w lecie« i to mówiąc, wodził oczami po pokoju, jakby szukając miejsca, którędy promienie światła mogłyby wedrzeć się do izdebki; wreszcie wzrok jego spoczął na okienku malutkiem, okrytem pyłem i pajęczyną obwieszonem. »Jest okno, ale światła niema! Gdy odnoszę robotę, wszędy jasno — tu tylko zawsze ciemno!«

Istotnie w izdebce coraz bardziej się zciemniało. Szymon znowu powiódł oczami po izdebce i znowu westchnął: »Ot bieda!«

I nagle wpadł do izdebki promień tak jasny, że przerażony Szymon zerwał się na równe nogi. Po chwili jasność zgasła a na jej miejscu pozostała wdzięczna niewieścia postać; szata jej jasno-słomianej barwy, upstrzona była błyszczącemi muszkami, długie jej włosy niby złota zasłona spływały z jej ramion, ozdobionych kwieciem okrytem świeżą rosą. Oblicze jej było tak jasne i piękne, iż przerażony Szymon zakrył twarz rękami, a w tejże chwili dał się słyszeć dziwnej łagodności głos:

»Co cię przeraża, człowieku? Przed chwilą pragnąłeś promienia, któryby izdebkę twą rozjaśnił, i przez wzgląd na twe zalety, przyszłam ci powiedzieć, jak nas tu zawsze zatrzymać możesz.

»Rodzina nasza liczna, życie nasze wesołe, bo wszyscy nas kochają i pragną; owady igrają w świetle naszem,

kwiaty piękniejsze i weselsze, gdy na nich spoczniemy; woda iskrzy się, gdy ją muśniemy, zwierzęta śpią smaczniej przez nas ogrzane. Lubimy pola i łąki, ale wciskamy się i do wąskich uliczek, do biednych izdebek, do szczelnie zamkniętych więzień.

Ale nie przychodzimy nieproszeni; pragniesz nas Szymonie, a cóż zrobiłeś, aby nas posiąść. My przybywamy do miejsc czystych i serc zacnych Szymonie, do serc szczerych i wdzięcznych, kochających i czczących Boga. W takich sercach, Szymonie, zawsze promyk świetlny mieszka, dla nich nie ma ciemności, ani nędzy.

Sprobuj Szymonie schwytać jednego z nas, a rozweselisz serce i mieszkanie, nastaw jako sidła wytrwałość, miłość i nadzieję, a nie potrafimy ujść takim ponętom.«

Głos ucichł, Szymon otworzył oczy; on spał zapewne i to był sen — przecie zrobił na nim wrażenie!

II.

Wrażenie to przetrwało do następnego poranku; wstał szybko i rzecz od lat kilku niewidziana, pobiegł do gospodyni domu prosić ją, aby pozwoliła córce wyprzątnąć jego izdebkę. Gospodyni tłumiąc zdziwienie, zaprosiła Szymona na śniadanie; w towarzystwie poczciwych ludzi miło zeszła mu godzinka; z lżejszem sercem przebiegał ulice, niosąc parę naprawionych butów, biednemu rzemieślnikowi. Niestety zastał go złożonego ciężką chorobą i w niemożności zapłacenia należnych mu kilku złotówek. Ale rzecz dziwna Szymon się nie upominał, uścisnął rękę chorego i wesół wracał do domu; a przecież bardzo potrzeba mu było pieniędzy! Dziwna rzecz, rzeźwy był, szedł pewnym krokiem, ani myślał narzekać.

Przeraźliwy krzyk zwrócił jego uwagę; koń unosił środkiem ulicy jeźdzca swego — delikatne dziewczę. Szymon rzucił się naprzeciw niemu i po chwili zatrzymał konia, a główka zemdlonej dziewczynki spoczywała na ramieniu jego. Tłum ciekawy go otoczył, Szymon oddał dziewczę w stósowniejsze ręce, a sam znikł w tłumie, za nim ojciec dziewczęcia, który w tej chwili nadjechał, mógł się o zbawcę odważnego zapytać.

Szymon odniósł drugą parę butów, otrzymał zapłatę i nową robotę i wrócił do domu dziwnie odmłodzony; nie spostrzegł nawet, że wiatr zimny i przenikliwy wiać nie przestał. Zdaje się, że i w izdebce jego podobna nastąpiła zmiana, bo Szymon stanął na jej progu i patrzył — patrzył, jakby jej poznać nie mógł. Ściany były omiecione, podłoga wyszorowana, klamki ode drzwi błyszczały, przez okno czyściutkie widzieć można było przechodniów. a nawet czerwone promienie zachodzącego słońca, igrające po szybach przeciwległego domu. Przed wyczyszczonym kominem, stał stół świeżo woskiem wytarty a na nim leżała dawno zarzucona, za zgubioną miana książka do nabożeństwa matki Szymona. Otworzył ją machinalnie i wpadły mu w oczy następujące wyrazy: »Nie ustawajmy w dobrze czynieniu, a przyjdzie dla nas czas zbiorn.« A głosik jakiś szepnął: »To będzie naszem stałem mieszkaniem; zawsze nas tu znajdziesz.«

III.

Szymon obudził się dziwnie wesół i spokojny, pracował on do chwili, w której córka gospodyni weszła robić porządek; wtedy wziął do ręki buty naprawione i wyszedł na ulicę. Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy uwagę jego zwróciło trzyletnie dziecię, siedzące na kamieniu i płaczące gorzko; koło dziecka stał piekarczyk z koszem pieczywa na plecach.

»Może znacie to dziecię,« zapytał zbliżającego się Szymona, musi być zbłąkane — a woła jeść.«

»Nie, nie znam tego biedactwa; ale co też z niem zrobicie?«

»Trzeba je będzie odprowadzić do policyi.«

»O nie, nie, nastraszyłoby się niebożątko tylu obcych twarzy. Wezmę je tymczasem do mojej izdebki, zawsze lepiej mu tam będzie niż tu; a jeśli się nikt do maleństwa nie przyzna, będziemy razem biedę klepać.« I to mówiąc wyciągnął dłoń do dziecka, które spojrzało nań zadziwionemi oczętami, ale po chwili wyciągnęło do niego rączkę mówiąc: »Mamo, ja głodny.«

»Jakież to śliczne stworzenie,« zawołał stary Szymon i biorąc dziecię na ręce, niósł je do domu, przemawiając do niego, obiecując, że je pożywi i że: Mama wkrótce przyjdzie.

Przyszedłszy do izdebki, Szymon zaczął się porać jak nigdy; ukroił dziecku kromeczkę chleba, posadził je na swem krześle koło ognia, a zdjąwszy mu buciki i pończochy, grzał jego nóżki w swoich czernionych dłoniach. Dziecię zajadało smacznie, ale po chwili zatęskniło za swoimi i kwilić zaczęło wołając; »Mamo!«

W wielkiem kłopocie znalazł się Szymon, on z dziećmi obchodzić się nie umiał, ale w tejże chwili, niebo chmurne wypogodziło się i promyk słońca wpadłszy przez schludne okienko, uderzył o świecącą blaszaną kwaterkę wiszącą na ścianie i zaczął się w niej łamać i przeglądać. Dziecię spostrzegłszy to, klasnęło w dłonie wołając: »Caca;« a stary Szymon pochwycił kwaterkę w ręce, zaczął nią poruszać i kręcić, a świetlana plamka przebiegała ściany i sufit, ku wielkiemu uszczęśliwieniu dziecka. Dziecko śmiało się, a śmiech był to tak serdeczny, że i stary Szymon śmiać się zaczął i w tej izdebce niedawno tak ponurej, rozlegał się śmiech dźwięczny dziecka, obok śmiechu basowego i zardzewiałego starca; a promyk zdawał się mówić: »Schwytałeś nas na dobre, Szymonie.«

Wkrótce dziecko oswoiło się ze swym opiekunem; Szymon zasiadł do pracy, a dzieciak dreptał po pokoju, przyglądając się każdej drobnostce, a promyk biegł za nim, ozłacając otaczające go przedmioty, zarówno jak jego jasną czuprynkę. Obiad jedli razem, a gdy dzień miał się ku schyłkowi, dziecię drzemać zaczęło, a Szymon wziął je na ręce i przytulił do siebie i kołysał i śpiewał mu jakąś kołysankę — może, tę, przy której sam usypiał. Dziecię usnęło: Szymon złożył je na swym sienniku, a sam zapaliwszy świecę, pracował dalej spoglądając na uśpione dziecię, i czując się tak szczęśliwym, jakim nigdy nie był.

Noc już zapadała, gdy usłyszał gwar na ulicy, a po chwili zapukano do drzwi jego i weszła kobieta.

»Panie,« rzekła, »nie widziałeś przypadkiem mego dziecka, jedynego dziecka mego, chłopczyka trzyletniego, powiedz.«

»Może to pani dziecię?« zapytał

Matka rzuciła się ku dziecięciu, które otworzyło oczęta, a poznawszy matkę uśmiechnęło się i usnęło napowrót.

»Panie«, rzekła wruszona kobieta, »bogaci nie jesteśmy — ale gdybyśmy co dla was zrobić mogli.«

»O zapłacie mowy niema,« odparł Szymon, »chociaż przykro mi będzie się z niem rozstawać. Pozwólcie mi czasem przyjść je zobaczyć.«

»Przychodź Pan jak najczęściej, Pan dobrodziejem naszym jest! i matka ściskała ręce zadziwionego Szymona.

Odtąd Szymon nie narzekał na ponurość swej izdebki; co Niedzielę, co Swięta z rodzicami ocalonego dziecka szedł do kościoła, z nimi jadł obiad, znalazł w nich prawdziwych przyjaciół.

Po kilku dniach wszedł do jego izdebki ojciec dziewczynki, której konia zatrzymał, był to Pan możny i chciał wynagrodzić Szymona — ale ten teraz odparł.

»Dziękuję Panu, daj mi Pan tylko naprawiać obuwie twych sług i domowników.«

I odtąd nie brakło Szymonowi roboty, a sędziwą twarz jego opromieniał uśmiech zadowolnienia.

Dziwny artysta.

Malarze i rysownicy, posługujący się w braku rąk nogami, nie są rzadkością. Są też ludzie, którzy nie posiadając rąk, doskonale nogą pisać potrafią. Jedynym wypadkiem wszakże jest niewątpliwie Bartram Hiles, artysa, który w braku rąk posługuje się do malowania i rysowania ustami. Używając do wprowadzenia w ruch ołówków i pendzli warg i zębów. Urodzony w Bristolu, w Anglii, Hiles, mając lat ośm został przejechany przez tramwaj, który zdruzgotał mu obie ręce, tak że musiano mu je całkowicie odjąć koło ramion. Rodzice chłopca byli to ludzie niezamożni, odczuł on przeto podwójnie swoje kalectwo, tembardziej, że objawiał tak wielkie zdolności do rysunków, iż w szkole profesor darmo dawał mu lekcye specyalne. Chłopiec wpadł tedy na myśl posługiwania się ustami. Z niespotykaną w tym wieku odwagą i wytrwałością mały Hiles zabrał się do pracy i po dwóch latach doszedł najpierw do tego że umiał pisać, potem kaligrafować, a w końcu kreślić z całą swobodą linie zupełnie regularne. Nie miał jeszcze lat jedenastu, gdy w szkole zwrócił na siebie uwagę nauczycieli i kolegów perspektywą i wykonaniem kompozycyi rysunkowej; tego samego roku otrzymał drugą nagrodę za rysunki. Zachęcony tem powodzeniem podał się na kandydata do szkoły sztuk pięknych i został przyjęty; mając lat trzynaście zdał świetnie egzamin do szkoły technicznej, a w szesnastym roku życia miał uczniów. Studyum akwarelowe wystawione w akademii sztuk pięknych w Bristolu, rozstrzygło o jego przyszłości. Pewien miłośnik nabył je za dość wysoką cenę, pisma miejscowe zrobiły o tem wzmiankę, zainteresowano się wielce młodym artystą, niepospolicie utalentowanym i w tak niezwykły sposób pracującym;

otrzymał kilka zamówień, które mu zapewniły byt. Wówczas mógł urzeczywistnić swoje marzenie: pojechać do Londynu i do Paryża. W dalszym ciągu pracując usilnie, otrzymał medale srebrne i bronzowe, nagrody pieniężne na wystawach i konkursach, a wszystkie wakacye spędzał w muzeach i galeryach, doskonaląc się w swej sztuce, i kształcąc z każdym rokiem. Usłuchawszy światłych rad, poświęcił się specyalnie sztuce dokoracyjnej i w tym kierunku jest pierwszorzędnym artystą. Bartram Hiles jest dzisiaj jednym z modniejszych malarzów w Anglii, królowa Wiktorya i księżna Walii kupują jego obrazy, pisma ilustrowane reprodukują jego motywy dekoracyjne, pierwszorzędne firmy meblowe zgłaszają się do niego po wzory. Dzieła jego odznaczają się niezwykłą czystością rysunku i nader wytwornym kolorytem.

Rozmaitości.

*** Studentki w Niemczech.** Studentek uczęszczało na wykłady w ubiegłym semestrze w Niemczech 153, a mianowicie: na Uniwersytecie w Berlinie 70, w Wrocławiu 14, w Rostoku 13, w Freiburgu 10, Greifswaldzie 5, Heidelbergu 4. Marburgu 3, w Tybindze i Halli po 1. W Austryi słuchało wykładów 18 kobiet: w Krakowie 8. w Czerniowcach 5, w Pradze 4, we Lwowie 1, a na Uniwersytecie wiedeńskim nie było żadnej. Pierwszem państwem, które otworzyło podwoje wyższych zakładów naukowych dla kobiet, były stany Zjednoczone. W r. 1849 pierwszy doktor-kobieta otrzymała dyplom. W r. 1860 za przykładem Ameryki poszła Szwajcarya, w 1861 r. Francya, w 1870 r. Szwecya, w 1875 r. Dania, Finlandya, Holandya i Indye, w 1876 r. Belgia i Włochy, w 1878 r. Australia, w 1884 r. Norwegia i Islandya, w 1895 r. Węgry, a w 1896 r. Prusy.

*** Jak Francuzi kształcą nauczycieli dla szkół w Algeryi?** Francya bardzo skrzętnie stara się o rozkrzewienie oświaty między krajowcami w Algeryi, zakłada tam szkoły i kształci nauczycieli w osobnem seminaryum nauczycielskiem w Alger-Bouzarea. Seminaryum to liczy co roku tylko 40 kandydatów, którzy ukończyli już studya nauczycielskie we Francyi. Rok nauki w seminaryum algerskiem spędzają ci nauczyciele na studyum języka kabylskiego, arabskiego, robót ręcznych (slöjdu), rolnictwa praktycznego, zastosowanego do stosunków krajowych, początków medycyny praktycznej z praktyką w szpitalu, wreszcie metodyki nauczania w szkołach krajowych. W czasie studyów otrzymują nauczyciele po 900 fr. rocznie, po ukończeniu kursu otrzymują posadę. Płace nauczycieli w Algerze wynoszą od 1500 do 2500 franków rocznie (w 5 klasach) oprócz tego dodatek lokalny, odpowiadający stosunkom drożyźnianym miejscowym.

*** Głód** sroży się w Chinach środkowych, zwłaszcza pomiędzy portami otwartymi Itschang i Tschungking, położonymi nad górnym Jantsekiangem. Wszędzie nad brzegami rzeki Niebieskiej leżą trupy umarłych z głodu, co dnia umierają tysiące. Przyczyną głodu jest zły zbiór z pól ryżowych, które przez 6-tygodniowy deszcz były zniszczone. Rząd chiński nie przedsiębierze żadnych środków zaradczych, bo chociażby i chciał cośkolwiek uczynić — nie pozwala mu na to.... pusta kasa.

*** Muzykalny pies.** Cyrk prowincyonalny dawał przedstawienia w jednem z miast Francyi południowej. W programie ogłoszono, że pies »Azor« będzie koncertował na fortepianie. W istocie pies wskoczył na taburet i rozpoczął grać marsyliankę. Jeden ze słuchaczów zawołał: »Kota, kota!« Azor zeskakuje i znika, a — instrument gra dalej...

*** Upał niebywały,** panujący obecnie w Londynie, wywołał istną rewolucyę w obyczajach sądowych. W dniu 6 b. m z rana, sędzia najwyższy, lord Russell of Killowen, kazał otworzyć drzwi i okna w sali posiedzeń, poczem zdjął perukę i togę i upoważnił adwokatów, aby poszli za jego przykładem. Od jakich lat 300 lub 400 żaden sędzia angielski nie zasiadł bez peruki na swym fotelu.

ZAGADKI.

1.

fran	fił	wy	ku
ta	mu	na	Tra
frant	ta	ran	ciął

Odczytać znane przysłowie.

2.

1. Samogłoska.
2. Tytuł turecki.
3. Filozof grecki.
4. Imię męzkie.
5. . . . .
6. Założyciel Memfisu.
7. Miasteczko w gub. mińskiej.
8. Rzeka w Europie.
9. Spółgłoska.

Środkowe litery i rząd środkowy utworzą imię jednego z bohaterów wojny trojańskiej.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 31:

1.

J
B A R
J O D Ł A
J A D W I G A
A L I N A
A G A
A

2.

Przysłowie ułożone jest według pisowni hebrajskiej, odczytując na wspak mamy: Polegaj na nim jak na Zawiszy.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.